



— MIESIĘCZNIK —

ORGAN STOWARZYSZENIA STUDENTÓW „SARMACJA”
W KURYTYBIE.

Redaktor: Leszek Roguski.

Adres Redakcji: Kurytyba, Dezembargador Motta Nr. 2187

W szóstą rocznicę.

Każda rocznica jest zawsze momentem pełnym wspomnień a wspomnienia są jakby magicznym zwierciadłem, w którym oglądamy naszą przeszłość i przeżywamy często nasze ważniejsze zdarzenia. — Srebrzysta wstęga wspomnień nawiewa nam echa minionych dni, jak słodkie tony starej, niezapomnianej melodji. — Wszystko co kiedyś było przykre, ciężkie i szare — w zwierciadle wspomnień staje się jakieś piękne, idealne.

Dziś, w szóstą rocznicę naszego Stowarzyszenia, mało jest takich Sarmatek i Sarmatów, którzyby nie wspominali ze wzruszeniem minionych dziejów „Sarmacji”, czerpiąc z nich niejednokrotnie impuls do dalszych wysiłków i zachętę do wytrwania na straży wysuniętych ideałów.

Sześć lat życia „Sarmacji”, sześć kartek historii, zapisanej strzelistemi literami — to miła dla nas rocznica. Sześć lat wytrwałej i nieustannej pracy, z której zebraliśmy dość obfite plony, słuszenie dumą napęlić nas mogą, dodając nam podniety do sumiennego i dzielnego kontynuowania zaczętej pracy.

Przed sześciu laty powstaje „Sarmacja”. Nasza studenterja tworzy jedną solidarną rodzinę, jeden legion tych co się kształcą. Słowo „Sarmacja” biegnie z ust do ust wśród studentów — polaków na Uniwersytecie, wśród uczniów gimnazjum i miłych uczennic Szkoły Normalnej; słowo to ukazuje się na szpaltach pism, rozplywa się pośród kolonij i dociera za ocean do Starej Ziemi.

Mimo zwątpienia, mimo braku wiary w powodzenie ze strony starszego społeczeństwa, wysiłki nasze nie zostały zmarnowane, wielkie nadzieje pierwszych pracowników nie zawiodły.

BIBLIOTECA
da Sociedade de Cristo
Curitiba PR

Dzisiaj widzimy założycieli „Sarmacji” na wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach, z dumą patrzących na swoje dzieło.

Do wspomnień o ciężkiej pracy, o nudnych nieraz i suchych zebraniach, łączą się wspomnienia o wspaniałych naszych balach reprezentacyjnych, na których w umajonej sali Związku Polskiego, w takt poloneza rozdzielał się wąż taneczny, rozsulał się po sali i znów się spływał w szereg sunących za sobą par. — Jakże bliski wydaje się nam pierwszy Wieczór Inauguracyjny z przed sześciu laty! A wycieczki, na których sarmackie bractwo biegło roześmiane po okolicznych lasach i „kampach”, aby po zmęczeniu zasiąść kręgiem przy ognisku i popijając kawę — zacieśnić węzły łączące wszystkich uczestników w jedną wielką, potężną organizację, dążącą do wspólnego celu! A wieczory literackie, wykłady literatury, i rodzinne rauty — jakże są jeszcze świeże, zda się wczorajsze! Tych wspomnień nie trzeba ożywiać, odgrzebywać w pamięci!

Ileż radości, zachwyków i uśmiechów mieści w sobie ten okres sześciu lat!...

W dzisiejszą rocznicę niechaj serca nasze zabiją nowem tętnem, niech się nastroją na górny i wysoki ton — niechaj ta rocznica nie będzie tylko wspomnieniem, ale zarzewiem nowych ogni i bodźcem do dalszej pracy.

A. Śliwiński.

Takie sobie wierszyki.

Boleść.

Boleść — to męskie, skąpe łzy,
Ronione w nocnej ciszy,
O których tylko Pan Bóg wie,
I które Pan Bóg słyszy.

Radość.

Radość — ma zwykle kilka lat,
I krótkie majtki w kratkę,
W oczętach błękit, w głowie wiatr,
A w ustach czekoladkę.

Smutek.

Smutek — to szary, mroczny dzień,
To zwiędły już pierwiosnek,
Na wszystko rzuca smętny cień,
I w jesień zmienia wiosnę.

Miłość.

Miłość — to bardzo rzadki kwiat,
Raz w życiu tylko kwitnie,
Z „Dobrem” jest zwykle „za pan brat”,
I pisze się błękitnie.

Zazdrość.

Zazdrość — to oczu dziki błysk,
To grom co w ciszę wpadnie,
Daje jedynie taki zysk,
Że szczęście sercu kradnie.

Młodość.

Młodość — to pański, modry gest,
To księżyc i tęsknota.
Zwykle na honor czule jest,
I wierzy w Don Kiszota.

Szczęście.

Szczęście — jest białe niczem śnieg,
I ma serduшко złote.
Nieraz odrzuca szczęście człek,
Nie wiedząc nawet o tem.

Wiara.

Wiara — ma dziecka jasną twarz,
I dzieckiem jest miłości,
Na progu serca trzyma straż,
I w sercach prostych gości.

Pycha.

Pycha — ma płaszcz jaskrawy z szmat
I całą dumą bucha,
Chce, by ją wielbił cały świat,
Choć ślepa jest i głucha.

Życie.

Życie — to szereg przeżyć — kart
W przeznaczeń ludzkich księdze,
Zawiera nieraz tylko start,
Lub metę — wieczną nędzę.

Piosnka.

Piosnka — to wiotki, blady kwiat,
Skąpany w blasku słońca,
Obiega nieraz cały świat
Od końca, aż do końca.

Słowo.

Słowo — to wonny kwiat, to czar,
To gram iskrzący radu,
To krwi serdecznej żar i war,
To czara pełna... jadu.

W. R.

Per aspera ad astra.

—o—

Sarmata. Sarmacja.

Kiedys nazwę tę mieli legendarni prawie nasi przodkowie, tak nazwani przez nieznaną ich bliżej, dumnych swą kulturą, pisarzy rzymskich.

W Kurytybie przyjęła ją organizacja młodzieży polskiej, synowie rozprysłych, jakoby, po dalekim świecie członków rodziny polskiej, którzy przemierzywszy długim szlakiem bezkresny ciepły ocean, zbudowali tu sobie przy owocnym trudzie nowe życie.

Obserwując z bliska życie „Sarmatów”, nieraz mimowoli zadaję sobie pytanie czem dla młodzieży tej jest Polska, dlaczego młodzież ta schodzi się razem i co ją łączy?—Myślę sobie, że jednych pociąga tęsknota za pewnem życiem polskiem i atmosferą, jakimi żyją razem „Sarmaci”, innych koleżeństwo, wszystkich zaś razem ta wspólna polska dusza i myśli odczuwane w kole-dze lub koleżance.

Czy jednak stara Macierz Polska tylko tem jest dla „Sarmatów”, tylko jakimś dalekiem echem czegoś, ideałem, zamartwym odblaskiem jakiejś chwały, którą trzeba godnie nosić, czy też przedstawia jednak jeszcze, chociaż tak daleka, wartości praktyczne dla poszczególnych jednostek. Sądzę, że nie wszyscy, a raczej mało jest tych „Sarmatów”, którzy zdają sobie z tego dokładnie sprawę.

Powiem jednak, że naród, który stworzył sobie własne życie państwowe w tylu wysiłkach zbiorowych, wojennych, odparł tyle ataków, przeszedł tyle burz dziejowych na tej prastarej naszej ziemi nadwiślańskiej, naród, który stworzył historję Europy między Bałtykiem a Morzem Czarnem, a dziś ruszył ławą do wielkiego czynu, przedstawia swym tysiącletnim dorobkiem kulturalnym wielką wartość duchową dla Polaków rozproszonych po szerokim a pięknym świecie.

Życie bowiem nie opiera się tylko na materji, poprostu mówiąc, milrejsie, ale i na wartościach duchowych, które młodzież sarmacka winna czerpać z bogatej skarbnicy swych przod-

ków. Nie jest to oczywista rzeczą łatwą. Aby być dopuszczonym do skarbnicy polskiego ducha, trzeba nad sobą pracować, trzeba poznać głębię polskich słów i wartości ich dźwięków dla polskiego ucha, dać im polską treść duchową wykuć sobie taką, czy inną wartość polską. Gdyż wszystko co jest u nas dobre i pewne zdobywamy trudem i wysiłkiem. Nie wystarczy więc może, młodzieży sarmacka, poznać tylko język polski, ale trzeba także zaszczerpieć w swem sercu szczepionki starej kultury polskiej wzrosłej na dalekiej naszej ziemi — żytnich łąków, śniegowych pól, i „Aniołów pańskich”, dzwonów starych kościołów cichej wsi.

Szczera praca w tym kierunku nad sobą, podniesie wartość życiową każdego i ułatwi zdobycie kawałka chleba. Kto zaś pozna kulturę swych przodków, pozna lepiej kulturę Brazylii i będzie pełnowartościowym i pożądanym jej obywatelem, wzbogacającym jej zasoby duchowe.

Nie trzeba zaś zapominać, iż dorastająca obecnie młodzież jest powołaną do odegrania roli w stosunkach polsko-brazylijskich, które zapewne w niedalekiej przyszłości się rozwiną. Trzeba więc, gdy przyjdzie czas, być do tego przygotowanym.

Stosunku do kultury polskiej nie należy układać według stosunku do takiej czy innej osoby przybyłej z Polski. Nikt wszystkiego na barkach nie nosi, a soczyste owoce sprzedają różni kupcy.

Niezależnie więc od sympatji i antypatji osobistych należy dla własnego dobra wykuwać sobie wytrwałą pracę, swoje wartości i treść-polskie. Zaś stosunek do Polski niech nie będzie nieobowiązującym ładnym ukłonem do starej cioci, ale serdecznym i zdrowym podaniem ręki starszemu i życzliwemu koledze.

Niech sarmaci pamiętają, że są potomkami rycerskich i śmiałych, nieznających klęsk, wojowników Chrobrego i Sobieskiego i tych, którzy poznawszy prawdę światłem myśli polskiej rozjaśniali rozległe stepy Azji.

Jan Król.

Wspomnienia.

Tak niedawno, tak bardzo niedawno zmarło dwóch głośnych, popularnych, powszechnie lubionych poetów: Artur Opman, ogólnie znany pod pseudonimem Or-Ota i Żdzisław Dębicki.

Los zdarzył, że kolegowałem z jednym i z drugim, z Or-Otem w gimnazjum, z Dębickim w uniwersytecie.

W roku 1881, naskutek przeniesienia się rodzi ów z pod Płocka pod Warszawę, przeszedłem z gimnazjum w Płocku do Warszawy, do drugiego gimnazjum przy ulicy Nowolipki. Tam

w trzeciej, czwartej i piątej klasie kolegowałem z Arturem Opmanem.

Bardzo miły i delikatny w stosunkach koleżeńskich, spokojny, wesóły i uśmiechnięty Artur cieszył się ogólną sympatją kolegów. Chodziły pomiędzy nami słuchy, że pisze wiersze nawet do „Kurjera Warszawskiego”, i to go stawiało na pewnym piedestale wyższości. Niestety, opinia kolegów nie była w stanie ułatwić mu studiów języka rosyjskiego, w którym bardziej od innych niedomagał.

W szóstej klasie już Artura nie zastałem a później nigdy nie miałem możności zetknięcia się z Or-Otem, znanym poetą polskim, piewą tradycyją warszawskich, któremu składałem cześć wierszem:

PAMIĘCI ARTURA OPMANA — OR-OTA.

Spędziliśmy na szkolnej ławie
Razem pamiętnych kilka lat,
Na Nowolipkach, hen w Warszawie,
Jak spędzić może z bratem brat.

Troickij, co był dyrektorem,
Obydwom się we znaki dał,
By polskość legła w nas ugiorem,
By każdy z nas w bierności trwał.

Lecz nie nie mogło stłumić ducha,
Co się w podniebne sfery rwał,
Z pod Twego pióra ogień bucha
Tych uczuć, coś je w duszy miał.

Kiedy, w przeszłości ezerpiąc blaski,
Drogiego miasta chwałę wił,
Nie bacząc na tłum i oklaski,
Byłeś, gdzie Polski honor tkwił.

A swojej muzy daleś pienia
I swego słowa daleś grom
Temu, co w męce wyzwolenia
Kładł kamień pod Ojczyzny dom.

Jam wybrał w życiu skromną drogę,
Przypadł mi zły wychodźczy los,
Lecz mieliśmy tę wspólną trwogę,
I jednym echem brzmiał nas głos.

By Polska zgodnie rosła w siły,
By pośród ludów polski lud,
Wierny swym dziadom z za mogiły,
Polskiego ducha wślawił cud.

Śpij więc, poeto pułkowniku,
Spokojnie! Muzy Twojej śpiew
Daje Ci miejsce na świeczniku,
Gdzie Polskiej chwały duch i krew.
(D. c. n.)

Dr. Szymon Kossobudzki.

26 Kwietnia 1932 r.

(W 38-ą rocznicę siedzenia w Arsenale)

Nagroda.

(Dokończenie)

Wracam teraz do wyścigów. Ja miałem cztero-cylindrową „Indian'kę”, najnowszego typu. Maszyna była, mówię wam, jak zegarek. Zawsze precyzyjnie uregulowana, naoliwiona, czysta jak szkło, jednym słowem cacko. 140 klm. szła jak torpeda. Była moją dumą. I nie tylko moją, lecz całego klubu, który lubił chwalić się moimi akrobacjami i karkołomnymi sztukami, które na niej wyprawiałem.

Mój rywal posiadał „Harley Dawidson'a” nie gorszą od mojej „Indianki”. A perfekcję swą w jeździe doprowadził przez rywalizację do tego samego stopnia co i ja. Wyścig zapowiadał się więc szalenie interesująco, bo szanse były równe. Nareszcie nadszedł wielki dzień. Nie będę wam opowiadał przebiegu innych zawodów; zacznę odrazu od naszego. Dzień był cudny, to też wielotysięczna masa publiczności wyroila się na start i metę naszego wyścigu. Mieliśmy startować z centrum miasta, przejechać główne ulice, potem szosą po określonym perkursie 40 klm. wrócić do miasta z przeciwnej strony. Zaznaczyć muszę, że w drodze powrotnej mieliśmy przejeżdżać koło podmiejskiej willi, należącej do rodziców naszej koleżanki — królowej.

Na starcie stało 8 maszyn, lecz wszystkie oczy zwrócone były tylko na mnie i na mego rywala, jako na najpoważniejszych konkurentów.

Po załatwieniu wszelkich formalności wyścigowych, dano znak do startu. Huk naszych motorów został zagłuszony przez okrzyki i wiwaty rozentuzjasmowanego tłumu. Mnie los dał w starcie numer 6, jechałem więc zaraz po moim rywalu, mającym numer 5.

Wyjeżdżaliśmy kolejno według numerów z przerwą 10 sekund jeden od drugiego. W mieście, na asfalcie, jechało się jeszcze ostrożnie, ale na szosie zacząłem stopniowo rozwijać pęd maszyny. Po 10 klm. wyprzedziłem 6 konkurentów i miałem przed sobą jedynie plecy mego rywala. Pędziliśmy z szybkością 140 klm. na godzinę. Rychło jednak zauważyłem, że na zakrętach dystansuję przeciwnika, zamykając je z większą niż on szybkością.

Miałem już pewność że wygram. Upojony szybkością, pędem powietrza, przekonaniem o zwycięstwie, jechałem jak we śnie. Leżąc na kierownicy motocyklu, z oczami wbitemi w zbliżające się z każdym kilometrem plecy rywala, śniłem już o entuzjaźmie drogiego klubu, honorach, tryumfie, no i o blasku, którym się otoczę w oczach kochanej dziewczyny. Nareszcie po wściekłym zakręcie, który mi porwał obcas z prawego buta, ale dał w zamian 10 metrów dystansu nad rywalem, wjechaliśmy na podmiejską aleję, ciągnącą się prostą linią na 5 klm. Tu chciałem ostatecznie zdystansować przeciwnika. Każdy nerw we mnie dygotał w takt ryku motoru; ręce, kureczowo zaciśnięte na kierownicy zdrętwiały od ciągłego wstrząsu. Wskazówka wlocymetru dosięgała 142 klm. Chciałem krzyczeć z radości i podniecenia. W tem, zamajaczyła mi na końcu alei jakaś postać niewieścia, wymachująca rozpaczliwie ramionami. Rywal mój, czując mię pędzącego tuż za sobą, przeleciał jak huragan, nie zważając na błagalne ruchy kobiety. W tej chwili, rozpoznałem w niej, starą służącą naszej królowej. Ujrzałem też na mgnienie oka jej przerażone oczy i błagalne znaki o zatrzymanie się. Coś mnie tknęło i prawie bezwiednie, czując że tracę pewne zwycięstwo, zatrzymałem maszynę. Po chwili przybiegła do mnie drżąc z przerażenia, krzycząc:

— Panie. Na litość Boga, ratunku. Mój pan umiera. Padł nagle i dusi się. Nikogo w domu niema i nie mogę się dotelefonować do żadnego doktora, bo wszyscy w mieście. Niech pan się zmiłuje i sprowadzi jakiego doktora.

W tej chwili z hukiem przeleciały koło nas dwie maszyny. Byłem wściekły. Wyścig djabli wzięli.

— Prowadź!

Byłem przecież medykiem. Rozpoznałem na pierwszy rzut oka atak apoplektyczny. Po długiej walce, usunąłem tymczasem niebezpieczeństwo życia, ojca królowej.

No i widzicie, wyścig wygrał mój rywal, puchar wziął jego klub, ale ja za to zdobyłem coś, co jest milion razy więcej warte od tego wszystkiego, bo zdobyłem moje szczęście...

To rzekłszy, Doktor czule pocałował rączkę wzruszonej p. Zofji.

Dyskusja przeszła na inny temat, a Felek był zamyślony przez resztę wieczoru.

J. Ficiński.

Unikajmy.

Jedną z wad mowy naszej, przechodzącą w manję i poruszoną w poprzednim numerze „SARMATY”, mam zamiar podać ogółowi, czytającemu pow. pismo do rozpatrzenia.

Chodzi tu o wiersz Uczestnika Wakacyj w Hervalu, napisany w przesadzie, oczywiście, lecz nadający się zupełnie do zwrócenia uwagi Kolegom na sposób mówienia i w tym to celu podany przez Redakcję.

Bo rzeczywiście słyszymy bardzo często wśród nas mowę, przeplataną wyrazami obcymi tam właśnie, gdzie można użyć wyrazu czysto polskiego.

Nawet w nowelce Kol Ficińskiego wycytujemy: „perfekcja”, „absorbował”, „dystans”, „dywersje” — słowa, które dają się z łatwością zamienić na nasze polskie.

Czyżby Kol. Ficiński chciał przez podobny „makaronizm” upiększyć swoje opowiadanie? — Moim zdaniem zanieczyszczanie języka, bynajmniej nie upiększa stylu, ani też dodaje uroku utworowi.

Unikajmy, zatem, podobnego sposobu pisania i mówienia, gdyż język polski jest na tyle bogaty w wyrazy, że można nim każdą myśl wyrazić, nie posługując się językiem obcym.

Są, wprawdzie, wyrazy przyjęte tam, gdzie własnego określenia nie mamy, ale są to wyjątki i wybaczone. Nie można, natomiast, wybaczyć umyślnego „makaronizmu”, gdyż w ten sposób profanuje się naszą mowę ojczystą, zachowaną w najcięższych warunkach podczas niewoli Polski, kiedy Rodacy, przodkowie nasi, ukradkiem ją pielęgnowali a niejeden życiem przypłacił nieostrożnie wypowiedziany wyraz polski i niejeden naraził się na ciężkie męczarnie, lecz mowy własnej wydrzeć sobie nie pozwolili i utrzymali ją w czystości.

Czemu więc my mamy ją zniekształcać?

Potrzeba do tego się nie nasuwa.

Chyba potrzeba popisywania się znajomością innego języka. Lecz to możemy okazać, mówiąc naprawdę innym językiem, a kiedy po polsku mówimy, mówmy czysto. **Jan Smolka.**

Nasza biblioteka.

Bodaj czy nie najważniejsze i najtrudniejsze zadanie, jakie twórcy „Sarmacji” mieli do wykonania — było zorganizowanie biblioteki. Najważniejsze, dlatego, iż młodzi „Sarmaci” zdawali sobie jasno sprawę z tego, jak doniosłe znaczenie będzie miała biblioteka w życiu „Sarmacji”; najtrudniejsze — gdyż nie małe „przeszkody natury materialnej trzeba było przezwyciężyć w praktyce.

Biblioteka pomimo wszystkiego powstała. Ma się rozumieć, że nie zakupiono odrazu całe stosy książek za gotówkę, bo takiej w kasie nie było. Zwrócono się z apelem do tutejszego, polskiego społeczeństwa, o stworzenie biblioteki drogą darowizn. Apel ten poskutkował, gdyż licznie napływały książki do naszego Stowarzyszenia. Kto co tylko miał u siebie przeczytanego, niepotrzebnego — oddawał „Sarmacji”, przyczyniając się w ten sposób do powiększania pokażnej z czasem biblioteki. W bibliotece tej, jakkolwiek skromnej jeszcze, „Sarmata” mógł już coś wygrzebać pożytecznego dla siebie.

Z biegiem czasu biblioteka ciągle powiększała się, rosła, potężniała, a dzięki to w głównej mierze zamorskiej Macierzy. Godzi się przypomnieć, że niemal co miesiąc przysyłano nam pakiety książek i czasopism.

Ponieważ książki były naogół w oprawie broszurowanej, łatwo zrozumimy, że niszczyły się one szybko, kartki wypadały, no i wynikał stąd bałagan i nieporządek. Aby temu nadal zapobiedz — za inicjatywą i pod kierownictwem gorliwego Sarmaty kol. A. Śliwińskiego, powstają w „Sarmacji” wieczorowe kursy introligatorskie. W krótkim czasie zdołano przy dobrych chęciach sarmatek i sarmatów oprawić lwiał część książek, znajdujących się w najbardziej oplakanyim stanie.

Jeszcze parę suchych faktów. Obecny stan biblioteki przedstawia się następująco:

Ogólna ilość książek 1300. W tem, w polskim języku 1144, w portugalskim 39, w niemieckim 21, w angielskim 8, francuskim 83 i włoskim 5. Najwięcej jest broszur z różnych dziedzin, ponieważ powieści zaledwie 30%. Do pism z Polski otrzymywanych, zaliczyć można: „Dekadę Akademicką”, „Wileze Zęby”, „Wieści Akademickie”, „Akademik Polski”. Wszystkie te pisma przysyłają nam zupełnie bezpłatnie koledzy akademicy z Polski, za co im szczerze dziękujemy! Ponadto otrzymujemy jeszcze „Wieści z Polski”, „Przełom”, „Gazetę Polską”, „Morze” i „Wychodźca” (również bezpłatnie).

Zdawałoby się może niejednemu, że wobec tak znacznej ilości książek i czasopism, — biblioteka nasza jest ostatnim wyrazem doskonałości. Tak jednak nie jest. Aby osiągnąć miano rzeczywistej biblioteki—bibliotece sarmackiej jeszcze do tego długa droga... Kto miał okazję wypożyczać książki w „Sarmacji”, przekonał się zresztą naocznie, — że niebrak tam wszelkiego rodzaju szpargałów i ochłapów, — których nikt nie będzie czytał, bo nie interesują go i nie mu pożytecznego nie przyniosą.

Studentka-sarmatka, czy też student-sarmata, dbając o wszechstronne wykształcenie, lub tylko nawet o wykształcenie zawodowe—nie znajdzie, niestety, w naszej bibliotece najpotrzebniejszych podręczników do zdobywania wiedzy w danym zakresie.

A przecież członkowie „Sarmacji”, to przede wszystkim studenci średnich i wyższych zakładów naukowych. Studenci ci

w znacznej liczbie, będąc niezamożnymi, nie są nawet w stanie pozwolić sobie na zakup najpotrzebniejszych, a tak drogieh dzisiaj **podręczników szkolnych**.

Jesteśmy studenterją, pragniemy by wiedza nie przychodziła nam tak uporeczywie ciężko z tego li tylko powodu, że nie mamy się z czego uczyć. Biblioteka nasza musi mieć charakter **studenckiej** biblioteki, o ile chce wywiązać się całkowicie ze swego zadania i mieć rację bytu w „Sarmacji”.

W niedalekiej przyszłości niechaj znajdzie się na półkach naszej biblioteki, choć po parę, ale za to pierwszorzędných dzieł w najrozmaitszych językach i z najrozmaitszych dziedzin.

Niech więc i nadal zadaniem „Sarmacji” pozostanie pieczołowite staranie się o coraz lepszą, o co raz doskonalszą bibliotekę.

Na zakończenie dodam jeszcze i to, że dobra, chociażby skromna, studencka biblioteka, bezwątpienia przyczyni się w wysokim stopniu do ożywienia życia sarmackiego, że tylko taka biblioteka, umożliwi nam ogromnie drogę do samokształcenia się, do zdobywania coraz większego zakresu wiedzy, byśmy w przyszłości mogli z pożytkiem i na chwałę służyć Polsce i Brazylii.

Józef Ćwikła.

Z naszego życia.

Dnia 8 maja r. b., nasz skromny lokal, przy ulicy Brigadeiro Franco — 49-A, wypełnił się szczerze naszą studenterją. Był to dzień pierwszego Rocznoego Walnego Zebrania „Sarmacji” w swojej — jak to słowo miło brzmi! — siedzibie, więc nie dziwnego, że dawno już nie widziani u nas koledzy i koleżanki, zeszli się tłumnie, ażeby przekonać się naocznie, co też się w tej „Sarmacji” robi.

Aby ukrócić sobie czas do zaczęcia zebrania — bo i u nas, niestety, należy do dobrego tonu spóźnianie się o jakieś pół godziny — podzieliliśmy się na dwie partje i wszczęło się zacięty mecz „siatkówki”.

Nie długo to jednak trwało — deszcz zmusił nas do opuszczenia zajadle bronionych stanowisk — wpędził do pokojów. Zawrzało — zakotłowało. Wnet zaczęła się propaganda — każdy szykował hufce do przyszłej kampanji wyborczej.

Dzwonek. Szablonowe — „Otwieram dzisiejsze Walne, i t. d., i t. d. — spotkało się z głęboką ciszą. Obrady zaczęły się.

Jak rok rocznie, tak i dzisiaj — odczytywało się sprawozdania, dyskutowało, krytykowało. Na zakończenie kol. prezes wygłosił wrzającą i płomienną mowę (bo zimno było, jak w lodowni), oraz poprosił p. prof. Konst. Lecha na przewodniczącego dalszych obrad.

Po pięcio-minutowej przerwie, przystąpiono do wyboru nowych władz Stowarzyszenia na rok administracyjny 1932—33. Skład zarządu, sądu koleżeńkiego, komisji rewizyjnej i komisji Budowy Domu jest następujący:

Zarząd: prezes—Antoni Śliwiński; wice-prezes Leszek Roguski; I sekretarz—Polan Kossobudzki; II sekr.—Emilja Wójcik; I skarbnik—Halina Sieciechowiec; II skarbnik—Ryszard Las; I bibliotekarz—Władysława Wołowska; II biblij.—Stanisław Butwillo-wicz; I mówca—Witold Paul; II mówca—Luty Kossobudzki; wydziałowi—Jadwiga Benradt, Hanna Radziwińska i Józef Ćwikła.

Sąd koleżeński.—Dr. Wacław Jaworski, Tadeusz Wątroba i Piotr Flenik. Zastępcy—Janina Wątroba i Edwin Walewski.

Komisja Rewizyjna.—Dr. Szymon Kossobudzki, Dr. Wacław Jaworski i Dr. Jan Skalski.

Komisja Budowy Domu:—przewodniczący—Dr. Jan Grabski; sekretarz—Leszek Roguski (podał się obecnie do dymisji); skarbnik—Dr. Edward Jaworski; wydziałowi—Konstanty Lech i Wojciech Twardowski.

Po obsadzeniu wszystkich stanowisk tem, co w „Sarmacji” jest najlepsze, najzdolniejsze i najwibitniejsze—posypały się wolne wnioski.

Każdy coś proponował—dorzucając niemilosierdzie nowy ciężar i nowe utrapienie na biedne barki nowoobranego Zarządu. Zarząd jednak—ufny w swe dobrze zgrane części i dynamikę całości—wchłaniał wszystko, ażeby przekształciwszy na czyn — wnieść na podniebne wyżyny imię „SARMACJI”.

Nowo-wybrany Zarząd już wziął się do pracy.

Dnia 22 maja r. b. odbyło się pierwsze zebranie, które licznie zgromadziło w naszym lokalu nie tylko członków Zarządu, ale też i gości—„sarmatów”.

Obrady potoczyły się wartko. Między innemi ważnemi sprawami uchwalono: 1) Urządzić Bal reprezentacyjny dnia 25 czerwca r. b., z okazji szóstej rocznicy założenia Stowarzyszenia, oraz uczcić w ten sposób przyjazd p. Staniewicza, pierwszego konsula generalnego R. P. w Kurytybie. 2) Przeprowadzić szczegółową rewizję uchwał z przeszłego roku administracyjnego. 3) Zorganizować cykl wykładów naukowo-popularnych. Pierwszy odczyt odbędzie się w życzliwie udzielonej nam na ten cel sali Związku Polskiego, dnia 3 maja o godz. 8-ej wieczorem, a 45-cio minutowy wykład o „Starych i Nowych Teorjach Dziedziczności” wygłosił p. Inż. Czesław Bieżanko. 4) Udzielić p. Zalewskiemu, delegatowi Ligi Morskiej i Kolonjalnej, bezpłatnie siedzibę „Sarmacji” na zebrania organizacyjne Koła Przyjaciół Ligi Morskiej i Kolonjalnej, oraz przyjść ze wszelką pomocą, aby ta nowa, a tak pożyteczna placówka w naszym życiu organizacyjnem, owocnie się mogła rozwijać.

Po zamknięciu zebrania, ażeby wiekopomnie uczcić pierwsze zebranie nowego Zarządu, przystąpiono z niehamowaną już wesołością do zabaw i gier towarzyskich.

Dobra, czarna jak smoła kawa się ukazała, spadły wraz z deszczem, który uwleził nas w ciasnych pokoikach, rozplywające się w ustach ciasteczka—i nikt już nie martwił się, jak to w ulewę wracać się będzie do domu.

Ciemniło się, żarówka opromieniała rumiane i roześmiane twarze, deszcz już dawno przestał padać — a gromadka nasza jeszcze bawi się i śmieje...

I tak zaczął się rok administracyjny Stowarzyszenia 1932—33. I. r.

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedynczy	\$500
Prenumata roczna (8 numerów)	4\$000
Prenumerata półroczna (4 num.)	2\$000